

MIECZ JAHWE

T O M I I I



Płonący Hazor

Marek Migala

Biblijna fantastyka heroiczna



PRAWA AUTORSKIE © Marek Migala, 2026

PIERWSZE WYDANIE POLSKIE

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Oryginalny tytuł: Miecz Jahwe. Tom III: Płonący
Hazor

Projekt okładki: autor

Ilustracje i mapy: autor

Redakcja: autor

*Dla tych, którzy niosą światło
tam, gdzie najgęstszy mrok.*

SERIA MIECZ JAHWE

Tom 0 *Córka Pustyni*

już wydany

Tom I *Pierwsza krew na pustyni*

już wydany

Tom II *Trąby Jerycha*

już wydany

Tom III *Płonący Hazor*

♦ w twoich rękach ♦

Tom IV *Fundamenty Szilo*

w przygotowaniu

Tom V *Kły i Łuk*

BOHATEROWIE

ci, których spotkasz na kartach tej opowieści

IZRAEL I HUFIEC

BARAK — dowódca Hufca, postrach Kanaanu. Sierota, który nie znał rodziców, od dziecka wychowany przez wojowników i szkolony na rozkaz Mojżesza przez mistrzów miecza. Pod sławą obrońcy ludu nosi umysł myśliwego — i lęk przed tym, do czego ten umysł jest zdolny.

JOZUE — wódz całego Izraela, następca Mojżesza, który przeprowadził lud przez Jordan i obalił mury Jerycha. Stary, twardy, samotny w ciężarze, którego nikt z nim nie dźwiga. Ojciec Tirzy.

GOLIATH — olbrzym i kowal Hufca, twórca machin, jakich Kanaan nie widział. Boi się ciemności i ognia bardziej niż ja-

kikolwiek wróg, a serce ma większe niż pięści. Z siostrą Miriam dzieli kuźnię i kłótnie.

DALIA — młodsza siostra Siry, obdarzona darem leczenia i wędrowki poza ciałem. Prowadzona od dziecka przez Świetlistego i przez Głos, których słyszy nie uchem, lecz sercem. Idzie ku Babilonowi, choć nikt do końca nie wie po co.

SIRA — starsza siostra Dalii. Trzynaście lat niewoli u bandyty Abirama nauczyło ją nie ufać nikomu i nosić nóż przy boku nawet we śnie. Umarła i wróciła w Jerychu. Kocha Eltolada, choć rzadko to okazuje.

ELTOLAD — najlepszy łucznik Hufca, milczący myśliwy, pan psa imieniem Cień. Towarzyszy Dalii w drodze na wschód.

CIEN — pies Eltolada, który widzi rzeczy niewidzialne dla ludzi i nie ufa temu, czemu ufać nie należy.

EFRON i ELAN — bliźniacy, synowie Bo-
aza, weseli i niepoważni, dla których żart
jest tarczą, a brat — drugą połową duszy.

AWISZ — najmłodszy ze zwiadowców, ci-
chy chłopiec o bystrym oku i nieśmiałym
sercu, które bije dla Dalii mocniej, niż
śmie przyznać.

KALEB — stary towarzysz Mojżesza, je-
den z dwóch zwiadowców, którzy nie-
gdyś nie zwątpili. Strażnik niejednej
tajemnicy Izraela.

HAZOR I WSCHÓD

ELISUR — wygnaniec z pokolenia Rube-
na, najgroźniejszy umysł, jaki stanął
przeciw Izraelowi. Nie wódz i nie cza-
rownik, lecz cierpliwy gracz, który prze-
grane bitwy zamienia w wygrane wojny.
Stracił synów — i nie wybaczył.

JABIN — król Hazoru, pana północy, dum-
ny i wściekły jak ranny lew, ostatni wiel-
ki władca, który jeszcze nie ugiął się
przed Izraelem.

SZEBA Z AKKO — najemnik z blizną przez całą twarz, mistrz wojny z cienia, który niepokoi Barakowy Hufiec zasadzkami i podjazdami. Wolny od wiary, honoru i dumy, zna tylko jedną zasadę — cenę — i służy temu, kto płaci.

KISZAR-SIN — stary mędrzec z Emar nad Eufratem, który widzi rzeczy, zanim się staną, i wie o świecie poza ciałem więcej, niż wiedzą żywi.

NABU-ZER — najstarszy z mistrzów ciemności Babilonu, pan tajemnej wiedzy, cierpliwy jak kamień.

MELCHIOR — kapłan Baala, który niesie na wschód brzemie cięższe niż złoto i rozdarcie cięższe niż brzemie.

PRZYWOŁANI Z DAWNYCH DNI

TIRZA — córka Jozuego, ukochana Baraka, której utrata wciąż kładzie się cieniem na wszystkim, co czyni.

RAHAB — niegdyś nierządnica z Jerycha,
dziś siostra Baraka i córka Izraela,
ocalona za wiarę.

MOJŻESZ — ten, który wyprowadził lud z
Egiptu i odszedł przed Jordanem, zostawiając Izraelowi prawo, Tablice — i
niejedną tajemnicę.

Spis treści

Prolog — Rada w Hazorze	12
I. Brama na Eufracie	19
II. Dwie drogi	31
III. Dwór w Hazorze	49
IV. Wąwóz Kruków	65
V. Dwaj nad jednym grobem	86
VI. Kuźnia Goliata	98
VII. Cena mocy	113
VIII. Przyjaciół z Emar	125
IX. Pojedynek cieni	137
X. Nauki w drodze	154
XI. Ostatni spokojny obóz	166
XII. Miasto przed burzą	177
XIII. Pod murami Hazoru	189
XIV. Oko nad rzeką	201
XV. Pajęczyna	212
XVI. Imię w ciemności	231
XVII. Krew na murach	244
XVIII. Rzeź w dolnym mieście	256
XIX. Płonący Hazor	273

XX. Brama Bogów	286
XXI. Naczynie.....	301
Epilog — Ci, którzy wrócili	326

MAPA WOJNY O HAZOR I TABLICE

TOM III – PŁONĄCY HAZOR



MIEJSCA KLUCZOWE

- 1 WODY MEROM**
Rozbicie koalicji północy
- 2 OBOZOWISKO IZRAELA**
Baza kampanii północnej
- 3 HAZOR**
Główna twierdza Jabina, siedziba Elisura
- 4 DOLNE MIASTO HAZORU**
Zniszczone przez maszyny Goliatha
- 5 GÓRNE MIASTO HAZORU**
Ostatni szturm – upadek Hazoru
- 6 PRZEPRAWA PRZEFUFRAT**
Początek wyprawy Dalii
- 7 SZLAK BABILOŃSKI**
Droga Dalii i Siry przez pustynię
- 8 BABILON**
Tablice, mag, śmierć Awisza i bliźniaków

KRÓLESTWA PÓŁNOCY

- 1 WODY MEROM**
Izraelici rozbijają koalicję dziesięciu królów. 900 rydwanów ginie w odmetach.

MADON

AKSZAF

SZIMRON

HAZOR

EUFRAT

PUSTYNIA
WSCHODNIA

GORA
HERMON

- 2 OBOZOWISKO IZRAELA**
Główne siły pod dowództwem Baraka i Goliatha. Tu powstają maszyny wojenne i stąd rusza oblężenie Hazoru.

- 4 DOLNE MIASTO HAZORU**
Zniszczone w dziewięć dni przez wieże, tarany, miotacze i ogień maszyny Goliatha.

- 7 SZLAK BABILOŃSKI**
Niebezpieczna droga przez pustynię, ścigani przez ludzi magistrów. W starciu giną Awisz i bliźniacy.

ZIEMIA
KANAANU

RZĘKA
JORDAN

8 BABILON

- 8 BABILON**
Miasto magów i wieź. Dalia i Sira zdobywają Tablice Przymierza. Elisur pojawia się jako sojusznik Babilonu. W starciu giną Awisz i bliźniacy.

„JAHWE WALCZYŁ ZA NAS,
A MY WALCZYMY JEGO MIECZEM.”

KSIĘGA JOZUEGO 10,14

MORZE
MARTWE

PUSTYNIA
PARAN

LEGENDA

- Marsz armii Izraela
- > Kontrataki Hazoru
- > Wyprawa Dalii i Siry
- ⚔ Miejsca wielkich bitew
- 🔥 Miasta spalone
- 🏰 Miejsca związane z Tablicami

Rada w Hazorze



Hazor nie płonął jeszcze. Ale Elisur, stojąc na murach stolicy północy, czuł już dym w powietrzu — ten dym, którego inni nie czuli, bo przychodził z przyszłości.

Był to dym, który umiał wywęszyć tylko ktoś, kto raz już patrzył, jak pewność dziewięciuset rydwanów tonie w błocie pod Merom. Elisur patrzył. Stał wtedy przy swoim namiocie na skraju obozu i odjechał spokojnym kłusem, gdy reszta koalicji konała — bo zawsze wybierał miejsce z widokiem na wyjście i zawsze odjeżdżał, zanim wyjście się zamknęło. Teraz, miesiące później, stał na murach Hazoru, ostatniej wielkiej twierdzy, która jeszcze nie ugięła się przed Izraelem, i robił to, co umiał najlepiej: liczył. Z wyglądu nie był nikim, kogo zapamiętałoby się w tłumie — mężczyzna w średnich latach, szczupły, średniego wzrostu, o twarzy spokojnej i niczym się niewyróżniającej, w szatach kosztownych, lecz skromnych, jakby celowo unikał barw, które przyciągają wzrok. I właśnie ta zwyczajność była jego bronią: bo nikt nie boi się człowieka, którego nie zauważa, a Elisur od dawna nauczył się, że najgroźniejszy jest ten, którego się nie widzi, póki nie jest za późno. Tylko oczy miał inne niż reszta twarzy — chłodne, ruchliwe, ważące, oczy człowieka, który nieustannie liczy.

Liczył wojska, których już nie było. Liczył królów, którzy zginęli pod Merom — Jobaba z Madonu, władcę Szimronu, dziesięciu pomniejszych. Liczył tych, którzy zostali: Jabina, króla Hazoru, dumnego i wściekłego jak ranny lew; rozproszone niedobitki z

południa; miasta, które jeszcze nie wiedziały, czy bać się Izraela, czy z nim układać. Z tej resztki miał zbudować coś, co zatrzyma Jozuego. Z popiołu — nową siłę.

To było zadanie dla szaleńca albo dla geniusza. Elisur nie był pewien, którym z nich jest. Wiedział tylko, że jest jedynym, który się go podejmie.

CZEGO NIE WYBACZYŁ

Elisur miał teraz powód osobisty, ostrzejszy niż polityka.

Pod Merom — w tej samej bitwie, w której utopiła się koalicja — zginęli ludzie Hufca, ale jeszcze wcześniej, w innej już wojnie, zginęli jego synowie. Hanoch i Pallu. Polegli z ręki Goliata podczas zamachu na wodzów Izraela — na Kaleba i Jozuego, i jeszcze dwóch znacznych mężów, z których nie wszyscy przeżyli tamtą noc. Zamach w części się udał, w części nie: padli zacni ludzie, lecz nie ci najważniejsi, a Hanoch i Pallu, posłani, by zadać cios, nie wrócili z niego wcale. Elisur nosił ich wciąż przy sobie — strzałę i nóż, owinięte w skórę, schowane głębiej niż złoto — i czasem, nocą, gdy nikt nie widział, wyjmował je i mówił do dwóch zmarłych głupców, że mu ich brak.

Za dnia jednak nie był ojcem w żałobie. Za dnia był strategiem, który wiedział, że żałoba jest paliwem, jeśli się ją odpowiednio skieruje. A Elisur skierował swoją ku jednemu człowiekowi: ku Barakowi. Nie ku kowalowi, który zadał cios — narzędzia się nie nienawidzi. Ku temu, który zebrał takich ludzi jak Goliat, dał im miejsce, uczynił z nich Hufiec. Ku temu, w którym Izrael widział przyszłość. Ku temu, który miał wszystko, co Elisur stracił.

„Wezmę ci to, co kochasz”, obiecał kiedyś w ciemności. „Potem ciebie.” Ta obietnica była teraz osią, wokół której obracało się wszystko inne — wojna, koalicja, Hazor, nawet Tablice.

RADA KRÓLA JABINA

W wielkiej sali Hazoru zebrała się rada — to, co z niej zostało. Jabin na tronie, ciężki, gniewny. Wodzowie ocalałych miast. Kapłani Baala, którzy stracili pod Merom swojego najwyższego, Adni-Baala, i którzy patrzyli teraz na Elisura z mieszaniną pogardy i potrzeby — bo gardzili wygnańcem z Izraela, ale potrzebowali jego rozumu.

— Mówisz, że możemy jeszcze wygrać — rzekł Jabin. — Po Merom. Po Jerychu, po Aj. Mów więc, Izraelito. Bo dotąd każdy, kto stanął przeciw temu ich Bogu, leży w ziemi albo płonie.

— Nie mówię, że możecie wygrać tak, jak próbowaliście — powiedział Elisur. Nie podniósł głosu; nigdy nie musiał. — Próbowaliście siłą. Dziewięćset rydwanów, koalicja królów, otwarte pole. I Bóg Izraela zmiotł was, bo na otwartym polu, gdy On patrzy, nie ma siły, która by Mu sprostała. — Przeszedł się wzdłuż sali. — Więc nie dam wam bitwy. Dam wam coś, czego ich Bóg nie umie zmieścić tak łatwo, bo to nie jest armia.

— A cóż to? — prychnął jeden z kapłanów.

— Czas. Zdrada. Cierpliwość — powiedział Elisur. — Izrael jest silny, gdy idzie naprzód, pewny, że Bóg go prowadzi. Osłabię tę pewność. Wprowadzę wątpliwość tam, gdzie jest wiara, niezgodę tam, gdzie jest jedność. Mam już człowieka w ich obozie — nie pierwszego, którego tam miałem, bo tamtego stracili, ale nowego, cierpliwego. Mam też coś, czego oni jeszcze nie rozumieją, że stracili.

Zawiesił głos. Wiedział, kiedy milczeć, by go słuchano uważnie.

TO, CO POJECHAŁO NA WSCHÓD

— Tablice — powiedział wreszcie. — Te, które niegdyś niosła ich Arka. Wykradłem je z Jerycha, nim padło, i posłałem na wschód, do Babilonu, do tych, którzy umieją czytać rzeczy ukryte. — Spojrzał po twarzach. — Wy myślicie, że siła Izraela jest w ich mieczach albo w ich liczbie. Mylicie się. Ich siła jest w tym, co niosą przed wojskiem — w obecności, której nie rozumiem do końca, ale którą widziałem przy murach Jerycha, gdy kamień wypalił człowieka w cień. Odebrałem im część tego. I jeśli ci, do których to posłałem, dowiedzą się, czym to naprawdę jest — być może znajdzie się sposób, by to obrócić przeciw nim. Albo przynajmniej, by im to odebrać na zawsze.

Cisza w sali była teraz innego rodzaju — uważna, niespokojna.

— Piszę do pewnego człowieka w Emar, nad Eufratem — ciągnął Elisur. — Starego. Potężnego. Takiego, jakich nie ma już na zachodzie. On widzi rzeczy, zanim się staną. I on napisał mi coś, czego sam jeszcze nie pojmuję w pełni, ale czego nie lekceważę, bo nauczyłem się nie lekceważyć ludzi, którzy widzą dalej niż ja. — Elisur zniżył głos. — Napisał, że Tablice mają klucz. Że nie są skrzynią, którą otworzy byle kto. Że jest osoba — jedna — która może je otworzyć. I że ta osoba żyje. Jest młoda. I jest po stronie Izraela.

— Więc trzeba ją zabić — powiedział Jabin.

— Może — powiedział Elisur. — Albo trzeba ją pojmać. Bo martwy klucz otwiera tyle samo co żaden, a żywy klucz w mojej dłoni... — urwał, i w jego oczach pojawiło się coś, czego kapłani

Baala woleliby tam nie widzieć — coś głodnego. — Żywy klucz w mojej dłoni czyni mnie panem rzeczy, której boi się nawet ich Bóg.

CZŁOWIEK Z WIDOKIEM NA WYJŚCIE

Rada skończyła się bez jasnych postanowień — bo Elisur nie chciał jasnych postanowień. Chciał tylko zasiać w tych ludziach to, co już rośło w nim: przekonanie, że wojny nie wygrywa się na polu, lecz w cieniu, cierpliwością i wiedzą.

Gdy wyszli, został sam na murach. Patrzył na północ, ku Eufratowi, ku miastu, którego nie widział, gdzie stary mag pochylał się nad wątrobą jagnięcia i nad dymem, szukając w nich twarzy dziewczyny ze światłem. Patrzył też na południe, ku ziemiom, które Izrael już zajął, ku obozowi, gdzie żył Barak, jeszcze nie wiedząc, że człowiek, którego ledwie zna, poświęcił mu resztę życia.

Elisur był jak zawsze: w środku, między dwiema stronami, sam. Po jednej ręce miał wojnę, którą trzeba było prowadzić, choć przegraną. Po drugiej — tajemnicę, która mogła odwrócić wszystko, jeśli tylko sięgnie się po nią dość daleko i dość bezwzględnie. A pośrodku — siebie, człowieka, którego nikt nigdy nie znalazł w godzinie złamania, i który z tego niewynalezienia uczynił broń.

LIST, KTÓRY JUŻ SZEDŁ

Nim zszedł z muru, Elisur uczynił jeszcze jedno — rzecz drobną, a taką, od której wszystko miało się zacząć.

Wyjął z zanadru skrawek wyprawionej skóry, nie większy od dłoni, i przy świetle pochodni nakreślił na nim kilka znaków — nie

list, bo listy się przechwytyje, lecz umówiony szyfr, który dla każdego innego oka był plamą, a dla jednego oznaczał rozkaz. Zwinął skórę ciasno i podał ją czekającemu w cieniu posłańcowi — człowiekowi bez twarzy, jakich Elisur używał i potem się ich pozbywał.

— Do mojego człowieka w obozie Izraela — powiedział cicho. — Sam wiesz, gdzie zostawić. Nie pytaj, komu. Im mniej wiesz, tym dłużej pożyjesz.

Posłaniec zniknął w ciemności, a Elisur patrzył za nim chwilę, wiedząc, że ten skrawek skóry jest groźniejszy niż wszystkie rydwany Hazoru razem wzięte. Bo na nim stały dwa słowa — nie rozkaz jeszcze, lecz zapowiedź rozkazu: *bądź gotów*. Człowiek Elisura w obozie Izraela jadał z nimi, modlił się z nimi, nazywał ich braćmi — i miał odtąd czuwać, czekając na drugi, ostateczny znak, który przyjdzie we właściwej chwili: nie teraz, gdy donosiciel jest cenniejszy milczący, lecz później, gdy nadejdzie pora, by zamienił szept w nóż. Tej pory Elisur jeszcze nie wyznaczył. Ale uruchomił zegar — i gdzieś tam, wśród namiotów Izraela, ktoś, komu Barak i Jozue ufali jak sobie, odczytał właśnie pod osłoną nocy dwa słowa spod kamienia i zrozumiał, że jego godzina się zbliża. Nikt inny nie wiedział, kto. To była najlepsza część planu: że ofiara nosiła zdrajcę przy własnym boku, uśmiechała się do niego i nie miała pojęcia, którą twarz nosi nóż.

Hazor jeszcze nie płonął. Ale Elisur, węsząc dym z przyszłości, wiedział dwie rzeczy z pewnością, której nie miał co do niczego innego: że to miasto spłonie — i że on sam zdąży odjechać spokojnym kłusem, zanim ogień go dosięgnie. Bo zawsze wybierał miejsce z widokiem na wyjście.

Tak zaczyna się tom drugi wojny o Kanaan — i pierwszy tom wojny o to, co kryją Tablice.



ROZDZIAŁ I

Brama na Eufracie



Emar leżało tam, gdzie droga z zachodu spotykała wielką rzekę — i gdzie kończył się jeden świat, a zaczynał drugi.

Melchior dotarł tu po wielu tygodniach drogi: z Hazoru przez Damaszek, przez palmowe oazy pustyni syryjskiej, aż karawana zesła ku dolinie Eufratu i zobaczył miasto na zakolu rzeki, gdzie ładunki z wozów przeładowywano na łodzie, by dalej płynęły w dół wody, ku Mari, ku Babilonowi. Emar było progiem. Bramą. Ostatnim miejscem, gdzie mówiono jeszcze językami zachodu, zanim rzeka poniosłaby człowieka w głąb Mezopotamii, w głąb tego, co Dalia widziała w swoim śnie jako mrok.

Emar nie było bowiem zwykłym miastem kupieckim, choć kupcy czynili je bogatym. Było miejscem granicznym — jednym z tych, gdzie spotykają się nie tylko drogi, lecz światy, i gdzie samo powietrze zdaje się gęstsze od tego, co przez nie przeszło. Od wieków schodziły się tu szlaki: ten z Kanaanu i znad morza, ten od Hetytów z północy, ten z głębi Mezopotamii. Karawany lądowe kończyły tu wędrówkę i powierzały towar rzece; łodzie ze wschodu dobijały do brzegu i wykładały, co przywiozły z Babilonu i Mari. Mówiono tu wszystkimi językami i czczono wszystkich bogów, bo miasto progo-we nie ma jednego boga — ma tylu, ilu przejdzie przez jego bramy.

A gdzie schodzą się wszystkie drogi i wszyscy bogowie, tam schodzą się i ci, co żyją na granicy rzeczy — wróżbici, którzy czytają przyszłość z każdej karawany; kapłani kultów, których nazw nie

znano na zachodzie; i tacy, o których lepiej było nie pytać, bo Emar, będąc bramą między dwoma światami, było zarazem, jak czuł to Melchior wjeżdżając w jego mury, bramą między czymś jeszcze — między tym, co widzialne, a tym, co czaiło się tuż pod powierzchnią, w dymie kadzideł, w szepcie obcych modłów, w spojrzeniach ludzi, którzy patrzyli na przybysza tak, jakby już wiedzieli, po co przybył.

Melchior, który przemierzył pół świata i widział świątynie Egiptu i ołtarze Kanaanu, poczuł w Emar to, czego nie czuł nigdzie: że przekracza próg, zza którego nie ma już łatwego powrotu. Że dotąd jechał przez świat ludzi, a tu zaczyna się świat czegoś innego — i że Tablice, które wiózł, ciągną go w głąb tego świata jak kamień ciągnie tonącego w dół.

I w Emar czekał na niego ktoś, kto wiedział, że nadjedzie — choć Melchior nikomu nie zapowiedział swojego przybycia.

TEN, KTÓRY WIEDZIAŁ

Przyszedeł posłaniec drugiego dnia — chłopiec o pustych oczach, mówiący głosem zbyt starym jak na swoje lata.

— Mój pan cię oczekuje — powiedział. — Kapłana z zachodu, który wiezie kamień, jakiego nie wiezie nikt. Mój pan widział twój przyjazd w wątrobie jagnięcia trzy tygodnie temu. Zaprasza cię na wieczerzę.

Melchior poczuł chłód, którego nie czuł od nocy w świątyni Jerycha. Bo nikt nie powinien wiedzieć o Tablicach. Wieźli je w tajemnicy, między workami soli, i nie mówili o nich nawet między sobą głośno. A jednak ktoś tu, o tysiąc staj od Jerycha, wiedział.

— Kim jest twój pan — zapytał.

— Nosi wiele imion — powiedział chłopiec. — Tu zowią go Kizar-Sin. Ale to nie jest jego imię. To imię, które nosi w tym mieście. Ma inne, starsze.

Melchior poszedł. Bo był kapłanem, który przez czterdzieści lat szukał wiedzy, a oto czekała wiedza, która sama go odnalazła — a takiej się nie odmawia, choćby pachniała niebezpieczeństwem. Zwłaszcza gdy pachnie niebezpieczeństwem, bo wiedza bezpieczna jest zwykle wiedzą małą.

K I S Z A R - S I N

Dom maga stał na skraju miasta, tam gdzie rzeka podchodziła pod mury, i był stary tak, jak stare bywają tylko rzeczy, o których ludzie wolą nie pamiętać. W środku paliły się lampy o dziwnym, niebieskawym płomieniu, a powietrze było gęste od dymu ziół, których Melchior, znawca kadzideł, nie umiał nazwać — i to go zaniepokoiło bardziej niż cokolwiek, bo Melchior znał każde kadzidło między Egiptem a Hetytami.

Kizar-Sin siedział wśród tego dymu — i był stary. Nie stary jak Melchior, który miał za sobą sześćdziesiąt lat. Stary inaczej, źle, jakby przekroczył granicę, za którą człowiek już nie powinien trwać. Skóra napięta na czaszce jak pergamin, oczy zapadnięte i jasne, nazbyt jasne, jakby paliło się za nimi coś, co nie było duszą. Ręce miał młode. To było najgorsze — twarz starca i ręce trzydziestolatka, jakby ciało nie wiedziało, ile naprawdę ma lat, bo trzymało je przy życiu coś z zewnątrz.

— Wiem, czego nie rozumiesz — powiedział mag zamiast powitania. Mówił po akadyjsku, ale Melchior rozumiał, choć nie powinien,

i to też było częścią mocy tego miejsca. — Pytasz w duchu, ile mam lat. Odpowiedź brzmi: więcej, niż żyje większość narodów. Czemu? Bo nauczyłem się, że życie to nie jest rzecz, którą się ma. To rzecz, którą się bierze. — Uniósł młode dłonie. — Od innych. Po trochu. Tak, żeby nie zauważyli od razu.

Melchior usiadł naprzeciw, bo nogi same go posadziły.

— Po co mnie wezwałeś — zapytał.

— Bo wiesz coś, czego pożądam — powiedział Kiszar-Sin. — I bo jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który widział, co ten kamień potrafi. Chcę usłyszeć to od kogoś, kto widział. Nie z wątroby jagnięcia. Z ust świadka.

WIECZERZA

Podano wieczerzę — bo posłaniec mówił o wieczerzy, a Kiszar-Sin zachowywał pozory gościnności, jakby chciał, by wszystko między nimi odbyło się wedle starego prawa gościa i gospodarza, którego nawet on nie śmiał złamać wprost.

Ale była to wieczerza, przy której Melchior nie tknął niemal niczego. Bo choć potrawy wyglądały zwyczajnie — chleb, pieczone mięso, owoce, wino — coś w nich było nie tak, jakaś nuta, której kapłan nie umiał nazwać, a która sprawiała, że ręka cofała się sama. Służba, która podawała, poruszała się bezgłośnie i z tą samą pustką w oczach, co chłopiec-posłaniec — ludzie, którzy zdawali się obecni tylko w połowie, jakby drugą połowę ktoś im odjął i zatrzymał dla siebie. Melchior, patrząc na nich, pojął nagle, czym płaci Kiszar-Sin za swoje młode dłonie — i odsunął talerz dalej.

— Nie jesz — zauważył mag, sam jedząc niewiele, bo ciało utrzymywane cudzą siłą nie potrzebuje wiele własnego pokarmu. — Mądrze. Nieufność jest u gościa cnotą, nie obrazą. Ja na twoim miejscu też bym nie jadł. — Uśmiechnął się. — Ale wino możesz pić bez obawy. Wino jest czyste. Trucizny używają ci, którzy nie umieją zabić inaczej — a ja, gdybym chciał twojej śmierci, kapłanie, nie potrzebowałbym jej mieszać do wina. Wystarczyłoby, bym zechciał.

I to powiedziane było tak lekko, tak zwyczajnie, że Melchiorowi zjeżyły się włosy na karku — bo nie była to groźba, lecz po prostu prawda, wypowiedziana tonem, jakim mówi się o pogodzie. Pił więc wino, bo odmówić znaczyłoby okazać strach, a Melchior przez czterdzieści lat nauczył się, że przed drapieżnikiem nie wolno okazywać strachu. A wino rzeczywiście było czyste — najlepsze, jakie pił, stare i ciężkie — i to też było częścią grozy tego miejsca: że pośród rzeczy strasznych trafiała się rzecz doskonała, jakby mag chciał pokazać, że ciemność i wykwint nie wykluczają się wcale, że można pożerać cudze życie i przy tym smakować w dobrym winie, i że właśnie to jest najstraszniejsze — nie potwór, który nie wie, co czyni, lecz mędrzec, który wie, i czyni mimo to, ze smakiem.

CO MAG UMIE

Melchior był ostrożny, ale ciekawość była w nim silniejsza od ostrożności — zawsze była, całe życie, i to ona zaprowadziła go aż tutaj.

— Najpierw pokaż, kim jesteś — powiedział. — Bo widziałem moc Baala i moc Mota, i nie zamierzam tracić wieczoru na sztuczki bazarowego wróżbity.

Kiszar-Sin uśmiechnął się — i to był zły uśmiech, uśmiech kogoś, kto dostał pozwolenie na rzecz, którą lubi.

Nie wykonał gestu. Nie wypowiedział zaklęcia. Po prostu spojrzął na lampę — i niebieski płomień zgasł, a wraz z nim wszystkie inne, i izba zapadła w ciemność tak gęstą, że Melchior poczuł ją na skórze. A w tej ciemności pojawiły się głosy. Nie jeden — wiele. Szepty w językach martwych, mówiące rzeczy, które Melchior znał, a których nie powiedział nikomu: imię jego zmarłej żony. Słowa, które wyrzekł nad łóżem konającego ojca pięćdziesiąt lat temu. Grzech, który popełnił jako młody kapłan i ukrył przed wszystkimi bogami.

— To mówią umarli — powiedział głos Kiszar-Sina w ciemności. — Wzywam ich, gdy zechcę. Twoja żona jest tutaj, kapłanie. Mówi, że wciąż na ciebie czeka. Chcesz z nią porozmawiać? Mogę to urządzić. To jedna z mniejszych rzeczy, jakie umiem.

— Nie — wykrztusił Melchior, i pot spłynął mu po plecach, bo głos rzeczywiście brzmiał jak ona, dokładnie jak ona, i nic w czterdziestoletniej nauce Melchiora nie tłumaczyło, skąd mag mógł znać jej głos.

Lampy zapaliły się znów, same.

— Umieć czytać przyszłość z wątroby, z dymu, z oliwy na wodzie — powiedział mag spokojnie, jakby nie wydarzyło się nic. — Umieć wzywać zmarłych i zmuszać ich do mówienia. Umieć posyłać chorobę przez sen, wiązać wolę człowieka jak wiąże się wołu, nasylać istoty, które żywią się strachem, i odbierać sen na tak długo, aż człowiek sam błaga o śmierć. Umieć opuszczać własne ciało i wędrować, gdzie zechcę, niewidziany. I umieć — to widziałeś — brać cudze życie, by przedłużyć własne. — Pochylił się. — Jestem najpotężniejszym żyjącym człowiekiem między tym miejscem a Babilonem. A teraz powiem ci coś, czego nie mówię nikomu, bo to mnie

upokarza: że cała ta moc jest niczym wobec tego, co wiesz na wozie między workami soli.

CZEGO MAG SIĘ BOI

Melchior milczał, bo nie tego się spodziewał — nie wyznania słabości od kogoś, kto przed chwilą rozmawiał z umarłymi.

— Próbowałem — powiedział Kizar-Sin, i pierwszy raz w jego głosie było coś ludzkiego, coś bliskiego gorzkości. — Wróżyłem o tym kamieniu przez trzydzieści lat, odkąd usłyszałem, że istnieje. I za każdym razem wróżba milkła. Wątroba jagnięcia była gładka, bez znaku. Dym szedł prosto w górę, nie chciał ułożyć się we wzór. Umarli, których pytałem o ten kamień, uciekali — uciekali ode mnie, ja, który ich wzywam i więzę, a oni woleli rozpuścić się w nicość, niż odpowiedzieć. — Patrzył na Melchiora. — Bo moja moc, kapłanie, działa na rzeczy tego świata. Na ciała, na umysły, na duchy zmarłych, na istoty z ciemności. To wszystko należy do jednego porządku — porządku, który umiem zginać. A ten twój kamień należy do innego. I dlatego go pożądam. Bo całe życie brałem, co chciałem, a oto jest rzecz, której wziąć nie umiem — i nie zaznam spokoju, póki nie zrozumiem, co w niej jest.

— Nikt nie wie, co w niej jest — powiedział Melchior cicho. — Ani Izrael, który ją strzeże. Ani ja, choć widziałem, jak wypaliła człowieka w cień. Pytałeś źle, magu. Wszyscy pytamy źle. Pytanie nie brzmi „co jest na kamieniu”, bo to wiadomo — słowa. Pytanie brzmi: co jest w nim pod tym, co napisano.

Kizar-Sin znieruchomiał. A potem zaśmiał się — cicho, sucho, jak szeleszczą stare liście.

— Tak — powiedział. — Właśnie tak. Widzę, że i ty już to wiesz. Dlatego cię potrzebuję, kapłanie. Bo jesteśmy podobni, ty i ja — obaj służyliśmy bogom, obaj odkryliśmy, że służba daje mniej niż branie, obaj poszliśmy za wiedzą tam, gdzie inni boją się patrzeć. — Wyciągnął młodą dłoń. — Zostań ze mną. Pojedziemy razem do Babilonu. Ty wiesz, jak kamień się zachowuje. Ja wiem, jak otwiera się rzeczy zamknięte. Razem moglibyśmy być pierwszymi od początku świata, którzy dowiedzą się, co naprawdę kryją Tablice. Pomyśl, Melchiorze. Czterdzieści lat szukałeś wiedzy. Oto największa, jaka istnieje, na wyciągnięcie ręki.

LUSTRO

I to był moment, w którym Melchior zobaczył siebie.

Bo Kizar-Sin był nim — Melchiorem, gdyby Melchior poszedł o kilka kroków dalej tą samą drogą. Stary kapłan, który całe życie służył bogom i przestał wierzyć, że służba wystarcza. Który pytał o rzeczy zakazane. Który chciał wiedzieć za wszelką cenę. Różnica między nimi była tylko jedna: że Kizar-Sin już zapłacił cenę, a Melchior jeszcze nie. Że mag przekroczył granicę, której Melchior dopiero dotykał stopą. I patrząc na te młode dłonie na starej twarzy, na tę moc kupioną cudzym życiem, Melchior zobaczył, dokąd prowadzi droga, którą sam szedł — i pierwszy raz w życiu poczuł nie ciekawość, lecz strach przed wiedzą.

— Ile osób musiałeś zabić — zapytał cicho — żeby dożyć dnia, w którym możesz mi to zaproponować?

Kizar-Sin wzruszył ramionami.

— Przestałem liczyć po pierwszym tysiącu — powiedział. — A czy to ważne? Umarliby tak czy inaczej. Ja przynajmniej zrobiłem z ich życia użytek. — Przechylił głowę. — Widzę, że cię to mierzi. To minie. Mnie też mierziło, na początku. Ale wiedza, Melchiorze, jest warta każdej ceny — przekonasz się. Każdy, kto raz zajrzy dość głęboko, płaci w końcu, ile trzeba. Ty też zapłacisz. Już prawie jesteś gotowy. Czuję to w tobie — ten sam głód, który czułem przed laty.

I Melchior, ku swojej zgrozie, wiedział, że mag ma rację. Że głód jest. Że gdyby był młodszy, gdyby nie widział tych młodych dłoni na trupiej twarzy, może by uległ. To było ostrzeżenie wpisane w jego własną duszę: *oto czym się staniesz, jeśli nie zawrócisz.*

KLUCZ

— Jest jeszcze coś, co powinienes wiedzieć — powiedział mag, gdy Melchior wstał, by odejść. — Bo i tak się dowiesz, a wolę, żebyś usłyszał ode mnie. Nie jesteś jedynym, z kim rozmawiam o tym kamieniu.

Melchior zatrzymał się.

— Jest na zachodzie człowiek — ciągnął Kiszar-Sin. — Izraelita, wygnaniec, który nienawidzi swoich bardziej, niż ja kocham moc. Zowie się Elisur. To on ukradł kamień i posłał go tobie. Pisaliśmy do siebie — on i ja — odkąd wywróżyłem, że kamień istnieje. On chce władzy nad swoim ludem. Ja chcę kamienia. Możemy sobie nawzajem pomóc. — Mag uśmiechnął się znowu. — A wiesz, co odkryliśmy, on i ja, każdy ze swojej strony? Że kamień ma strażniczkę. Nie wojowników Izraela — oni strzegą skrzyni, nie tego, co w niej. Mówię o kimś innym. O dziewczynie, która widzi to, co ja widzę, i

chodzi tam, gdzie ja chodzę, tylko że niesie światło, gdzie ja niosę ciemność. — Oczy maga zapłonęły mocniej. — Wywróżyłem ją. Widziałem ją w dymie. Jedźcie teraz ku nam, ku Babilonowi, choć jeszcze daleko. I wiem jedno, kapłanie: że ta dziewczyna jest kluczem. Że bez niej kamień jest zamkniętą skrzynią dla każdego — dla Izraela, dla Elisura, dla mnie. A z nią... — urwał. — Dlatego, gdy ją spotkasz w drodze, a spotkasz, bo wasze drogi się zbiegną — przyjrzyj się jej dobrze. Bo ona jest pytaniem i odpowiedzią naraz. I ten, kto ją zdobędzie, zdobędzie to, czego nie zdobył nikt.

Melchior wyszedł w noc nad Eufratem, i serce waliło mu jak młodeńcowi.

CO NIÓSŁ DALEJ

Ruszył rano, w dół rzeki, ku Babilonowi — bo musiał dokończyć to, co zaczął, dostarczyć Tablice tam, dokąd kazał Elisur, a potem... potem nie wiedział. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, czego chce.

Wiózł teraz dwie rzeczy cięższe od kamienia. Jedną było ostrzeżenie: obraz Kiszar-Sina, młode dłonie na trupiej twarzy, dokąd prowadzi droga wiedzy bez granic — jego własna droga, gdyby jej nie przerwał. Drugą była wiedza, której wolałby nie mieć: że gdzieś na zachodzie dziewczyna ze światłem jedzie ku tej samej ciemności, ku której on wiezie kamień, nie wiedząc, że dwaj starcy — wygnaniec, który nienawidzi, i mag, który pożera życie — już wypatrzyli ją w dymie i wątrobie, i nazwali kluczem.

Melchior nie wiedział, czy kiedykolwiek ją spotka. Nie wiedział nawet, czy chciałby ją ostrzec, czy może — w głębi, w tej części siebie, która usłyszała głos zmarłej żony i zadrżała z tęsknoty —

chciałby raczej zobaczyć, co się stanie, gdy światło i kamień się spotkają. Bo ciekawość w nim nie umarła. Tylko przestraszyła się samej siebie.

Spał tej nocy źle, w gospodzie nad rzeką, a gdy zasnął, śniła mu się żona — nie taka, jaką pamiętał z ostatnich dni, wychudła chorobą, lecz młoda, jaką była, gdy ją poślubił. Stała na drugim brzegu Eufratu i wołała go po imieniu głosem, który Kizar-Sin wydobyl z ciemności, i Melchior we śnie ruszył ku niej, w wodę, choć wiedział — wie się to we śnie — że to nie ona, że to przynęta, że jeśli przejdzie rzekę, nie wróci. Obudził się po pas w lęku, z imieniem żony na ustach, i długo leżał w ciemności, słuchając Eufratu, i rozumiejąc, że mag wcale nie musi go ściągać ani zmuszać. Wystarczy, że zasiał. Reszta wyrośnie sama, z gleby, którą Melchior nosił w sobie od czterdziestu lat: z tęsknoty, z ciekawości, z głodu wiedzy, który nie pyta o cenę.

Bo to było najgłębsze, co Melchior zrozumiał, leżąc tej nocy bezsennie: że Kizar-Sin nie skłamał ani razu. Wszystko, co mag powiedział, było prawdą — o sobie, o swojej mocy, o swojej cenie, nawet o Melchiorze. Zwłaszcza o Melchiorze. „Już prawie jesteś gotowy”, powiedział mag, i to była prawda najstraszniejsza, bo Melchior czuł tę gotowość w sobie, czuł, jak coś w nim chyli się ku magowi, ku jego wiedzy, ku obietnicy, że można jeszcze raz usłyszeć głos zmarłej. I tylko jedno trzymało go po właściwej stronie granicy — nie cnota, nie wiara, lecz obraz: te młode dłonie na trupiej twarzy. Lustro, w którym zobaczył, czym staje się człowiek, który mówi „tak”. I Melchior wiedział, że póki pamięta to lustro, jest bezpieczny. A bał się dnia, w którym przestanie pamiętać.

Tablice jechały w dół rzeki, ciche i szare, niosąc w sobie to, czego nikt nie umiał nazwać. A za nimi, na zachodzie, w mieście, którego Melchior nie znał, w obozie nad którym wstawały te same gwiazdy,

dziewczyna imieniem Dalia szykowała się do drogi. Dwaj ludzie, których nigdy nie widziała, czekali na nią na drugim końcu świata — jeden z klątwą, drugi z głodem — obaj z tym samym pytaniem na ustach: *co kryją Tablice — i czy ona jest kluczem, który je otworzy?*

To pytanie miało czekać. Miało rosnąć. Miało stać się osią tego, co przyjdzie — gdy płomień, który strawił Jerycho, sięgnie dalej, ku północy, ku Hazorowi, który jeszcze stał, ale którego dni były już policzone.



ROZDZIAŁ II

Dwie drogi



Po zwycięstwie przychodzi rzecz, o której nie mówią pieśni:
trzeba żyć dalej.

Merom było wygrane. Koalicja rozbita, Jabin uciekł na północ, dziewięćset rydwanów spłonęło w błocie. Izrael świętował — i miał prawo. Ale w obozie nad wodami, gdzie dogasały ogniska triumfu, byli ludzie, dla których zwycięstwo smakowało popiołem. Bo wojna bierze swoje także od tych, którzy ją wygrywają, i bierze to długo po tym, jak ucichną trąby.

BARAK, KTÓREGO NIE BYŁO

Barak siedział przed swoim namiotem i nie robił nic.

To było u niego nowe i straszne — bo Barak zawsze coś robił: ćwiczył, planował, chodził między ludźmi, naprawiał, co się dało naprawić. Teraz siedział z rękami opuszczonymi między kolanami — a były to ręce wojownika, szerokie i twarde, znaczone bliznami od miecza i tarczy, ręce, które od dziecka uczono trzymać broń, nim nauczono je czegokolwiek innego. Bo Baraka, który nie znał ani ojca, ani matki, wychowali wojownicy, a szkolili na rozkaz Mojżesza mistrzowie miecza — i z chłopca bez rodziny wyrósł wojownik, jakiego Izrael potrzebował. Mężczyzna w sile wieku, barczysty, o twarzy ogorzałej od słońca i wiatru pól bitewnych, z ciemnym

zarostem i oczami, w których dawniej palił się nieustanny ruch myśli — teraz patrzył w punkt, którego nie było, a w którym widział twarz Tirzy.

Bo Tirza nie żyła. Zginęła w wąwozie, od strzały człowieka Elisura, i Barak pochował ją na wzgórzu twarzą ku północy, i powiedział nad jej grobem rzeczy, których nie mówi się żywym. A potem wrócił do wojny, bo wojna nie czeka — i wygrał Merom, dowodził, krzyczał rozkazy, ciął i palił, i był bohaterem. A teraz, gdy ucichło, okazało się, że bohater był skorupą, a w środku skorupy nie było już nic prócz popiołu.

Nauczył się chcieć — Kaleb go tego nauczył, Tirza go tego nauczyła. Pierwszy raz w życiu pozwolił sobie czegoś pragnąć dla siebie: jej. I świat zabrał mu to, ledwie sięgnął. Więc teraz Barak siedział i myślał rzecz najgorszą, jaką może myśleć człowiek czynu: *że może lepiej było nie chcieć. Że niechcenie bolało mniej. Że gdyby nigdy jej nie pokochał, nie miałby teraz w piersi tej dziury wielkości pięści.*

I to było niebezpieczne — nie dla ciała, lecz dla duszy. Bo człowiek, który dochodzi do wniosku, że lepiej nie kochać, zaczyna umierać za życia, powoli, od środka, nie wiedząc nawet, że umiera.

GOLIAT PRÓBUJE

Goliat przysiadł się ciężko, aż ziemia jęknęła.

Siedział w milczeniu, bo nawet on, prosty kowal, wyczuwał, że są pory, gdy słowa trzeba kłaść ostrożnie jak rozżarzone żelazo. A potem powiedział to, co umiał najlepiej — nie mądrość, bo mądrości się nie

uczył, lecz dowcip, bo dowcipem całe życie odganiał ciemność jak ogniem w kuźni.

— Wiesz, co jest dobre w byciu mną? — zaczął. — Że gdy mi smutno, widać to z daleka. Wielki smutny człowiek. Ludzie schodzą z drogi. A ty — ty jesteś normalnej wielkości, więc twój smutek nikomu nie robi miejsca. Musisz go nosić w tłoku. To niesprawiedliwe.

Barak nie odpowiedział.

— Mówię ci to — ciągnął Goliat niezrażony — bo myślę nad tym, jak ci pomóc, i wpadłem na plan. Mogę chodzić za tobą i robić ci miejsce. Wszędzie. „Z drogi, ten człowiek jest smutny!” Ludzie będą uciekać. Będziesz miał najwięcej przestrzeni w całym Izraelu. — Podrapał się w brodę. — Jedyna bieda, że gdy będziesz chciał z kimś pogadać, też uciekną. Ale ty teraz i tak nie chcesz gadać, więc na razie plan jest dobry.

Coś drgnęło w kąciку ust Baraka. Nie uśmiech. Ale zapowiedź, że uśmiech gdzieś jeszcze istnieje.

— Goliacie — powiedział cicho. — Przestań.

— Nie przestanę — powiedział Goliat, i teraz w jego głosie nie było już żartu, choć słowa szły dalej lekko. — Bo wiem, co robisz. Siedzisz i liczysz, że gdybyś jej nie kochał, nie bolałoby. Znam to. Tak myślałem, gdy zabrali Miriam. Że lepiej nie mieć siostry, niż ją stracić. — Pokręcił wielką głową. — A potem ją odzyskaliśmy, ty i ja, i zrozumiałem, jaki byłem głupi. Bo te lata, gdy myślałem, że lepiej jej nie kochać — to były lata zmarnowane. A te dni, odkąd wróciła — są warte całego bólu, który mógłby przyjąć.

Barak spojrzał na niego.

— Tirza nie wróci — powiedział.

— Nie — zgodził się Goliat. — I dlatego nie mówię ci, że wróci. Mówię ci coś trudniejszego. Że ją kochałeś, i to było dobre, i że ból,

który teraz masz, jest ceną tej miłości — a nie jej zaprzeczeniem. Płacisz teraz za to, że miałeś. Gdybyś nie miał, nie płaciłbyś — ale też byś nie miał. — Wstał, aż ziemia znów jęknęła. — Nie każę ci przestać boleć, Barak. Każę ci nie żałować, że kochałeś. Bo to dwie różne rzeczy, a tylko jedna z nich zabija.

I odszedł, zostawiając Baraka z tym — bo Goliat wiedział, kiedy odejść, tak jak wiedział, kiedy uderzyć młotem: ani za wcześnie, ani za późno.

A Barak siedział dalej, ale już inaczej. Bo prosty kowal powiedział mu rzecz, której nie powiedziałby żaden mędrzec: że żałować miłości to gorsze niż ją stracić. I gdzieś pod popiołem, bardzo głęboko, drgnęła iskra — nie radości, na to było za wcześnie, ale woli, by żyć dalej. Tyle na razie. To musiało wystarczyć.

CIEŻAR JOZUEGO

Jozue też pochował dziecko.

Tirza była jego córką — i nikt o tym nie zapominał, choć Jozue nie pozwalał, by mówiono o tym przy nim. Bo Jozue był wodzem całego Izraela, a wódz nie ma prawa do żałoby, którą widzą inni. Wódz musi stać prosto, gdy inni klękają, bo z jego postawy lud czyta, czy jeszcze jest nadzieja. Więc Jozue stał prosto. A w nocy, sam w namiocie, pozwalał sobie na to, czego nie pokazywał za dnia: na bycie ojcem, który stracił jedyną córkę.

Tej nocy klęczał przed Przybytkiem, sam, i mówił do Boga — nie jak wódz, lecz jak człowiek.

— Wziąłeś moją Tirzę — powiedział. Nie było w tym oskarżenia; Jozue za długo chodził z Bogiem, by oskarżać. Było pytanie. —

Wziąłeś ją, gdy prowadziłem Twoją wojnę, na Twojej drodze, dokąd mnie posłałeś. Mogłeś ją ochronić. Nie ochroniłeś. I nie rozumiem dlaczego — ale nie o zrozumienie proszę, bo dawno przestałem rozumieć Twoje drogi. Proszę o coś innego. O siłę, żeby dokończyć. Bo chcę rzucić to wszystko, Panie. Chcę usiąść na tym wzgórzu, gdzie ona leży, i nie wstać. Ale nie mogę. Bo zaczęłeś przeze mnie rzecz, której nikt inny nie dokończy, i jeśli ja usiądę, usiądzie cały Izrael.

Cisza Przybytku nie odpowiedziała słowami. Ale Jozue, który znał tę ciszę od czterdziestu lat, poczuł w niej to, co czuł zawsze w godzinach najcięższych: nie ulgę, nie pociechę, lecz pewność. Że nie jest sam. Że droga, choć ciemna, prowadzi dokądś. Że ma iść dalej, bo iść dalej to jedyne, co mu zostało, i jedyne, czego się od niego żąda.

Wstał o świcie z suchymi oczami i twarzą wodza. Nikt nie miał zobaczyć, że płakał. Lud miał zobaczyć Jozuego, który wie, dokąd idzie — bo tego lud potrzebował, a Jozue dawał ludowi to, czego lud potrzebował, nawet kosztem tego, czego potrzebował sam. Taki był ciężar, którego nie niósł nikt poza nim. Taka była samotność tego, kto idzie pierwszy.

— Hazor — powiedział do wodzów, gdy zebrali się rano. — Jabin uciekł do Hazoru i tam zbiera, co zostało. Dopóki Hazor stoi, północ się nie podda. — Rozłożył mapę. — Więc Hazor padnie. Nie dziś, nie jutro. Ale padnie. Dokończymy to, co zaczęliśmy — miasto po mieście, aż ziemia, którą obiecał Pan, będzie nasza. Nie ma innej drogi. Jest tylko ta — naprzód.

I w jego głosie była rzecz, która podnosiła ludzi: nie zapał, bo na zapał był za stary i za poraniony, lecz niezłomność. Pewność człowieka, który zapłacił już najwyższą cenę i mimo to idzie — a za

takim człowiekiem idzie się tam, dokąd nie poszłoby się za żadnym entuzjastą.

DROGA NA WSCHÓD

Daleko od obozu, na szlaku wiodącym ku wschodowi, szła mała drużyna — dwunastu ludzi i pies, ziarno na ogromie pustyni między Kanaanem a wielką rzeką.

Dalia szła pośrodku, bo tak ustawiła ich Sira: siostra w środku, najcenniejsza, osłonięta ze wszystkich stron. Wokół niej Sira i Eltolad, Cień truchtający przy nodze łucznika, siedmiu zwiadowców Hufca i bliźniacy. Patrząc na nią, trudno było pojąć, czemu tylu zbrojnych strzeże jednej dziewczyny — bo Dalia była drobna, młodziutka, o jasnej twarzy i wielkich, ciemnych oczach, które zdawały się patrzeć nie tyle na świat, ile gdzieś przezeń, jakby widziały rzeczy, których inni nie widzą. Krok miała lekki, prawie niematerialny, i bywały chwile, gdy szła wśród nich, a zarazem jakby jej z nimi nie było — obecna ciałem, a duchem gdzie indziej. Szli już trzeci tydzień — przez wzgórza Kanaanu, przez ziemie, gdzie Izrael jeszcze nie sięgnął, ku Damaszкови i dalej, ku drogom, które prowadziły nad Eufrat. Długa droga. Miesiące drogi. A na jej końcu — Babilon, którego Dalia bała się i pragnęła zarazem, bo tam czekało jej przeznaczenie, którego wciąż nie rozumiała.

Tuż przy niej szła Sira — i trudno było o większy kontrast między dwiema siostrami. O ile Dalia była jasna i jakby nie z tego świata, o tyle Sira cała była z tego świata, i to z jego twardszej strony. Szczupła, żylasta, o twarzy ostrej i czujnej, ogorzałej jak u kogoś, kto większość życia spędził pod gołym niebem, nie z wyboru. Włosy

ściągała ciasno do tyłu, by nie wchodziły w oczy w walce. Poruszała się jak ktoś, kto nawet idąc spokojnie, nieustannie liczy odległości do najbliższej osłony — bo trzynastcie lat u Abirama nauczyło jej ciała czujności, której umysł nie umiał już wyłączyć. Przy biodrze nosiła nóż, zakrzywiony, wytarty od używania, i nikt z drużyny nie widział jej nigdy bez niego — nawet we śnie spała z dłonią opodal rękojeści.

EFRON I ELAN

Na szczęście dla wszystkich, w drużynie byli bliźniacy.

Długa droga zabija nie zmęczeniem, lecz nudą i strachem, a na jedno i drugie najlepszym lekarstwem jest śmiech — a Efron i Elan, synowie Boaza, odziedziczyli po ojcu dar, którego nie sposób się nauczyć: czynienia świata znośniejszym przez gadanie.

— Ja tylko mówię — perorował Efron, idąc — że gdyby Bóg chciał, żebyśmy szli aż do Babilonu, dałby nam dłuższe nogi. Albo skrzydła. Albo przynajmniej osła, który by nie kulał.

— Osioł nie kuleje — odparł Elan. — Osioł strajkuje. To różnica. Kulawy osioł chce iść i nie może. Nasz osioł może i nie chce. To osioł filozof. Usiadł i rozmyśla nad sensem dźwigania ciebie.

— Mnie? To twój wór go obciąża. Co ty tam wozisz, kowadło ojca?

— Wożę zapas jedzenia, bracie, bo znam ciebie. Za trzy dni zjesz swoje, potem moje, a potem będziesz patrzył na osła tym wzrokiem, który osioł zna i dlatego strajkuje, bo woli filozofować, niż skończyć na rożnie.

Cień szczechnął — krótko, jakby się wtrącił — i bliźniacy natychmiast orzekli zgodnie, że pies przyznał rację Elanowi, co wywołało

nowy spór o to, czyją stronę pies naprawdę trzyma. Sira, idąca z przodu, pozwalała im na to gadanie, choć udawała, że ją męczy — bo widziała, że zwiadowcy idą źle, gdy bliźniacy gadają, i że nawet Dalia uśmiecha się półgębkiem, a uśmiech Dalii w tej wędrówce był rzeczą cenną i rzadką.

Raz tylko, gdy zatrzymali się na nocleg, a żarty ucichły wraz z ogniskiem, Sira usłyszała, jak bracia rozmawiają półgłosem, sądząc, że nikt nie słucha.

— Boisz się? — spytał cicho Elan.

— Jak głupi — przyznał Efron, bez śladu swojego dziennego tonu. — Idziemy na koniec świata, do miasta czarowników, po coś, czego nikt nie rozumie. Pewnie, że się boję. — Pomilczał. — Ale jak zacznę o tym myśleć, to się rozsypię. Więc nie myślę. Gadam. Gadanie to taka tama, bracie. Póki gadam, strach nie wejdzie.

— Wiem — powiedział Elan. — Dlatego ja ci wtóruję. Dwie tamy lepsze niż jedna.

I umilkli, dwaj weseli chłopcy, którzy nie byli tak weseli, jak udawali — a Sira, słysząc to, pojęła, że ich żarty nie są płytkością, lecz odwagą: że trzeba więcej hartu, by śmiać się w drodze do piekła, niż by iść do niego ponuro. I odtąd patrzyła na bliźniaków inaczej — nie jak na dwóch trefnisiów, lecz jak na dwóch ludzi, którzy wybrali nieść swój strach lekko, żeby było źle także innym.

AWISZ

Był wśród zwiadowców jeden młody — Awisz, najmłodszy z siedmiu, ledwie dwudziestoletni, chłopak o poważnych oczach, który do

drużyny zgłosił się nie dla przygody jak bliźniacy ani z wierności jak Eltolad, lecz z powodu, którego długo nie zdradzał.

Bo Awisz widział, jak Dalia uzdrawia.

Widział to w obozie, przed wyprawą — jak położyła dłonie na konającym dziecku i jak dziecko otworzyło oczy. I od tamtej chwili patrzył na Dalię tak, jak patrzy się na rzecz świętą: z czcią, z lękiem, z czymś, czego sam nie umiał nazwać. Dla Awisza Dalia nie była kobietą. Była niemal aniołem, istotą z innego porządku, kimś, przy kim trzeba zniżyć głos i spuszczać oczy.

Co czyniło każdą rozmowę z nią udręką.

— Pani — wykrztusił raz, podając jej bukłak na postoj. — Woda. To znaczy. Pani pewnie chce. Wody. Bo gorąco. To jest woda. — Zamilkł, czerwony jak zachód słońca, i dodał ciszej, do własnych stóp: — Powiedziałem „woda” trzy razy.

Dalia wzięła bukłak, i coś w niej drgnęło — nie politowanie, lecz ciepło. Bo ten poważny chłopak, który przed konającym dzieckiem stał spokojnie, a przed nią plątał się jak uczeń, miał w sobie coś rozbijającego.

— Dziękuję, Awisz — powiedziała. — I nie mów do mnie „pani”. Mam na imię Dalia. Jestem córką Hebera, jak ty jesteś synem swojego ojca. Nie aniołem.

— Pani widziała anioła — powiedział Awisz z przekonaniem, wciąż patrząc w ziemię. — Ja słyszałem. Kto rozmawia z aniołami, jest bliżej nieba niż ja. Więc będę mówił „pani”, bo... bo inaczej nie wypada. — Podniósł na moment oczy, napotkał jej wzrok, spłonął i znów spuścił. — Chciałem tylko... gdyby pani czegoś potrzebowała. Czegokolwiek. Przez całą drogę. Jestem. To znaczy — będę. Przy pani. Niech mi pani pozwoli iść najbliżej i pierwszy stawać między

panią a tym, co przyjdzie. To wszystko, o co proszę. Żeby mi pani pozwoliła być tym, który stoi pierwszy.

I to było tak niezdarne, i tak szczere zarazem, że Dalia poczuła, jak coś jej się ściska w piersi — bo pod nieporadnością chłopaka kryła się rzecz prawdziwa: ofiarowanie. Awisz nie umiał z nią rozmawiać, ale gotów był dla niej umrzeć, i to drugie mówił o wiele wyraźniej niż pierwsze.

— Pozwalam — powiedziała łagodnie. — Idź najbliżej, Awisz. Dobrze mieć kogoś, kto stoi pierwszy.

Chłopak rozpromienił się tak, że aż musiał odwrócić twarz, i odszedł na swoje miejsce w szyku sztywny z dumy i zażenowania naraz. A Dalia patrzyła za nim z uśmiechem, którego sama do końca nie rozumiała — bo w sercu, które oddała Bogu i wielkiej misji, znalazło się nagle ciepłe, ludzkie, drobne miejsce dla niezdarnego chłopca, który trzy razy powiedział „woda”. I nie wiedziała, czy się tego miejsca wstydzić, czy za nie dziękować.

Sira, która widziała wszystko, podeszła później do siostry.

— Wiesz, że on cię ubóstwia — powiedziała.

— Wiem — powiedziała Dalia.

— A ty?

Dalia milczała chwilę.

— Ja go lubię — przyznała. — Lubię, że przy dziecku jest mężczyzną, a przy mnie chłopcem. Lubię, że się rumieni. — Westchnęła. — I nie wiem, czy wolno mi to lubić, Siro. Bo dokąd idę, nie wiem, czy jest miejsce na takie rzeczy. Może ten, kto niesie światło, musi iść sam.

— Albo — powiedziała Sira — może właśnie ten, kto niesie światło, najbardziej potrzebuje kogoś, kto stoi pierwszy. Nie wiem. Ja

tam zostawiam takie pytania tobie. Ja pilnuję, żebyś żyła. Reszta to wasza z Bogiem sprawa.

A że Awisz był kimś więcej niż zakochanym chłopcem, Dalia przekonała się tej samej nocy. Bo gdy obóz spał, to Awisz pierwszy poderwał się z ziemi, cicho, i ręką nakazał wszystkim milczenie — usłyszał to, czego nie usłyszał nikt inny: skradające się kroki w ciemności, daleko, na granicy słuchu. Nie spłoszył się, nie krzyknął. Zbudził Eltolada dotknięciem, wskazał kierunek dwoma palcami, sam zaszedł bok — i okazało się, że to tylko szakał węszący przy jukach, lecz drużyna przekonała się, że najmłodszy ze zwiadowców ma słuch i głowę warte więcej niż jego nieśmiałość.

— Dobry jesteś w tym — mruknął Eltolad, układając się z powrotem. — Lepszy niż ja w twoim wieku. Oczy masz młode, a spokój stary. To rzadkie.

Awisz nie odpowiedział, ale w ciemności rozjaśnił się tą jedną pochwałą bardziej niż wszystkimi słowami, jakie usłyszał od kobiet w swoim życiu. Bo przy Dalii był chłopcem — ale w swoim rzemiośle, w czytaniu nocy i tropu, był już mężczyzną, i wiedział o tym, choć przy niej zapominał. I gdyby ktoś patrzył uważnie, dostrzegłby, że ten sam Awisz, który nie umiał podać bukłaka bez plątania się, w ciemności poruszał się pewnie jak ktoś, kto zna swoją wartość — tylko nie umiał jej jeszcze pogodzić z miłością, która go onieśmiewała.

LEKCJA ŚWIETLISTEGO

Nocą, gdy drużyna spała, a warty czuwały, Dalia wychodziła poza krąg ognia — bo tam, w ciemności i ciszy, przychodził do niej Świetlisty.

Nie zawsze. Nie na zawołanie. Przychodził, gdy chciał, a Dalia nauczyła się go nie przyzywać, lecz oczekiwać — bo rzeczy nieba nie przychodzą na rozkaz człowieka, tylko w godzinie, którą niebo wybiera. Tej nocy przyszedł. Poczuła go, zanim go zobaczyła — po cieple, po tym, że ciemność przestała być pusta.

— Lękasz się Babilonu — powiedział Świetlisty. Nie było to pytanie.

— Lękam się — przyznała Dalia. — Widziałam go we śnie. Mrok pełen istot, które żywią się ludzkim złem. Magów, którzy biorą moc od demonów. A ja mam tam wejść sama, słaba, i co? Rozdmuchać iskrę? Jedną iskrę w morzu ciemności? To jak zapalić świecę w czas burzy.

— Tak — powiedział Świetlisty. — Dokładnie tak. I powiem ci rzecz, której jeszcze nie rozumiesz, a którą zrozumiesz w Babilonie: że jedna świeca w czas burzy nie jest słabością. Jest jedyną rzeczą, której burza nie umie zgasić, jeśli ten, kto ją niesie, zasłoni ją dłonią. Burza gasi pochodnie. Świecy osłoniętej dłonią — nie umie. Bo świeca nie walczy z burzą. Świeca po prostu świeci, a to wystarcza, by w jej kręgu nie było ciemności.

— Nie jestem dość silna — powiedziała Dalia.

— I dobrze — odrzekł Świetlisty, i w jego głosie było coś jakby uśmiech. — Bo gdybyś była silna, ufałabyś swojej sile. A tam, dokąd idziesz, twoja siła byłaby żdźbłem przeciw lawinie. Idziesz nie po to, by być silna. Idziesz po to, by być przezroczysta — by przez ciebie przeszło Światło, które nie jest twoje. Twoja słabość jest twoją wartością, Dalio. Im mniej ciebie, tym więcej Tego, który przez ciebie świeci. Naucz się tego, zanim dojdiesz, bo to jest cała tajemnica: nie być mocną. Być czystą szybą, przez którą wpada słońce.

Dalia milczała, ucząc się — bo lekcje Świetlistego były takie: nie dawały mocy, dawały zrozumienie, a zrozumienie okazywało się mocą większą niż moc.

G Ł O S

A potem Świetlisty uczynił coś, czego nie czynił nigdy wcześniej. Pochylił się — jeśli istota ze światła może się pochylić — i powiedział cicho:

— Dziś nie ja będę mówił. Uciszyć się. Bo Ten, który mnie posyła, chce mówić sam.

I Świetlisty pociemniał — nie zgasł, lecz jakby usunął się w cień, robiąc miejsce. A Dalia poczuła, jak cisza wokół niej zmienia się w inną ciszę: głębszą, pełniejszą, ciszę, w której jest Obecność tak wielka, że ziemia pod kolanami wydała się Dalii cienka jak płótno. Padła na twarz, bo nie dało się stać. I w tej ciszy usłyszała Głos — nie uchem, lecz wprost w sercu, gdzie słowa nie potrzebują dźwięku:

Córko.

Jedno słowo, a Dalia rozplakała się, bo w tym jednym słowie było więcej miłości, niż zaznała przez całe życie — miłości, która znała ją całą, każdy jej grzech i każdy lęk, i mimo to nazywała ją córką, czule, jak ojciec nazywa dziecko, za którym tęsknił.

Nie lękaj się drogi, którą cię prowadzę — mówił Głos w jej sercu. Nie posyłam cię, byś zwyciężyła. Posyłam cię, byś zaufała. Zwycięstwo jest moje — twoje jest tylko pójść. Wiem, że jesteś słaba. Wybrałem cię dlatego, że jesteś słaba, bo w słabych objawia się moja moc, a mocni przypisują zwycięstwo sobie. Ty nie będziesz mogła przypisać go sobie, i to cię ocali.

Dalia leżała na twarzy i nie umiała odpowiedzieć, więc Głos mówił dalej, do jej milczenia:

Powiem ci, co cię czeka, nie po to, byś się bała, lecz byś nie była zaskoczona. Będą cię ścigać. Dwóch ludzi już wie o tobie i nazwało cię kluczem — jeden ze swojej rany, drugi ze swojego głodu. Będą po ciebie sięgać przez sen, przez ciemność, przez rzeczy, które przychodzą, gdy gaśnie ogień. Nie ulękiesz się ich, bo Ja będę z tobą — nie tak, że oddalę niebezpieczeństwo, lecz tak, że przeprowadzę cię przez nie. Bo nie obiecuję ci drogi bez ciemności. Obiecuję ci, że przez ciemność przejdiesz, jeśli nie puścisz mojej ręki.

Ufaj mi, córko. Tam, gdzie twój rozum mówi „przepadłam”, Ja mówię „teraz dopiero zaczynam”. Im ciemniej wokół ciebie, tym bliżej jestem. Pamiętaj to w Babilonie, w godzinie, gdy uznasz, że Cię opuściłem: że właśnie wtedy będę najbliżej, niosąc cię, choć nie poczujesz ciężaru, bo niesionemu zdaje się, że idzie sam.

Głos ucichł. Obecność cofnęła się — łagodnie, jak fala odpływa, zostawiając brzeg mokry i pamiętający. Świetlisty wrócił z cienia.

— Słyszałaś — powiedział.

— Słyszałam — wyszeptała Dalia, wciąż leżąc, mokra od łez. — On nazwał mnie córką.

— Bo nią jesteś — powiedział Świetlisty. — Wszyscy nią jesteście. Tylko tak niewielu słucha dość cicho, by usłyszeć, jak was nazywa.

Dalia wstała o świcie zmieniona. Nie silniejsza — Głos powiedział wyraźnie, że nie o siłę chodzi — lecz pewniejsza tej jednej rzeczy, która miała ją przeprowadzić przez wszystko, co przyjdzie: że jest niesiona. Że choćby droga wiodła w najgłębszy mrok, nie idzie nią sama. I że gdy w Babilonie uzna, że została opuszczona — to

właśnie wtedy ma sobie przypomnieć tę noc na pustyni, i słowo „córko”, i obietnicę, że najbliżej jest w ciemności.

Schowała to w sercu jak skarb, którego nikt nie może ukraść. Bo to był pokarm na drogę — nie ten z worów, które dźwigał osioł bliźniaków, lecz ten, którym żywi się dusza, gdy ciało już nie ma sił.

CO WYCZUŁ MAG

Tej samej nocy, o tysiąc staj na wschód, w Emar nad Eufratem, stary mag Kiszar-Sin obudził się gwałtownie.

Coś zakłóciło jego sen — a sen maga, który włada nocą, nie zakłóca się łatwo. Wstał, owinął się w szaty i zszedł do izby, gdzie trzymał narzędzia swojej sztuki. Zapalił niebieski płomień. Pochylił się nad misą z oliwą i wodą, i patrzył, szukając tego, co go zbudziło.

Melchior, który nie spał — bo odkąd przybył do Emar, sypiał źle, dręczony bliskością tego człowieka — wszedł cicho za nim.

— Co się stało — zapytał.

— Dziewczyna — powiedział mag, nie odrywając wzroku od misy. — Klucz. Coś się przy niej wydarzyło tej nocy. Coś, czego nie umiem odczytać. — Jego stara twarz, podświetlona niebiesko, wyrażała rzecz, której Melchior nie widział na niej wcześniej: niepokój. — Wróżyłem ją przez tygodnie. Widziałem ją zawsze wyraźnie — punkt światła idący ku nam z zachodu. Słaby, ale wyraźny. A dziś... — Urwał. — Dziś światło wokół niej buchnęło tak, że oślepiło wróżbę. Jakby ktoś przy niej stanął. Ktoś większy.

— Większy? — Melchior poczuł chłód. — Większy niż ty?

Kiszar-Sin milczał długo. A gdy odpowiedział, w jego głosie była gorycz pomieszana z czymś, co u kogoś innego nazwałoby się strachem:

— Większy niż wszystko, co znam — powiedział. — Przez sześćset lat brałem moc, skąd się dało — od zmarłych, od demonów, od cudzego życia. Nauczyłem się rozpoznawać każdą moc tego świata po jej smaku. A to, co dziś stanęło przy dziewczynie, nie miało smaku żadnej z nich. Było... — szukał słowa i nie znajdował — było jak słońce, gdy całe życie znałeś tylko świece. Tej samej natury co kamień, który wypalił człowieka w cień. Moc pierwsza. Ta, której nie umiem wziąć.

Wyprostował się znad misy, i po raz pierwszy, odkąd Melchior go poznał, wyglądał staro nie tylko ciałem, lecz i duchem — jak ktoś, kto natknął się na granicę swojej potęgi.

— To zmienia rzecz — powiedział. — Myślałem, że klucz jest bezbronny. Dziewczyna ze światłem, samotna na drodze, którą wystarczy pojmać. A ona nie jest sama. Idzie z nią Ten, którego nie umiem zmóc czarem. — Zacisnął młode dłonie. — Więc nie sięgnę po nią siłą. Siłą jej nie wezmę, póki On przy niej stoi. Trzeba inaczej. Trzeba poczekać na godzinę, gdy ona sama odsunie się od Niego — bo ludzie to robią, nawet najlepsi, w chwili lęku albo pychy albo zwątpienia. A wtedy, w tej jednej godzinie, gdy światło wokół niej przygaśnie, bo ona sama je przygasi... wtedy ją wezmę.

— A jeśli nie przygasi? — zapytał Melchior. — Jeśli nie odsunie się od Niego?

Kiszar-Sin spojrzał na niego, i w jego oczach była pewność człowieka, który zna ludzi lepiej, niż zna ich Bóg — albo tak mu się zdawało.

— Każdy się odsuwa — powiedział. — Prędzej czy później. Daj człowiekowi dość strachu, dość bólu, dość samotności, a sam puści rękę, której się trzyma. Nawet jej ręki. Nawet Jego. — Zgasił niebieski płomień. — Będę czekał na tę godzinę. Mam czas. Jestem cierpliwy jak kamień. A ona idzie wprost ku mnie.

I w ciemności, która zapadła po zgaszeniu płomienia, Melchior poczuł, że bierze udział w czymś gorszym, niż przypuszczał — że nie jest świadkiem polowania na rzecz, lecz na duszę. Że mag nie chce pojmać dziewczyny. Chce ją złamać. Doprowadzić do godziny, w której sama wypuści rękę Boga — bo dopiero wtedy klucz będzie jego.

I Melchior, stary kapłan, który całe życie pytał „co tam jest?”, po raz pierwszy zadał sobie inne pytanie — pytanie, które miało go odtąd dręczyć bardziej niż tajemnica Tablic: *czy powinienem ją ostrzec? A jeśli tak — to czy starczy mi odwagi, by zdradzić tego, w którego mocy sam teraz jestem?*

Nie znał odpowiedzi. Ale wiedział, że pytanie już w nim zamieszkało, i że nie da mu spokoju aż do dnia, gdy odpowie na nie czynem — w jedną stronę albo w drugą.

DWIE DROGI, JEDEN KRES

Tak szły dwie drogi przez te tygodnie, dzieląc świat między siebie.

Na zachodzie Izrael zbierał się do dalszej wojny — Barak dźwigający żalobę, Goliat podtrzymujący go dowcipem, Jozue niosący lud ku Hazorowi mocą człowieka, który stracił wszystko i mimo to idzie. Tam była wojna, którą widać: miecze, mury, ogień.

Na wschodzie szła Dalia — ku Babilonowi, ku Tablicom, ku magowi, który czekał cierpliwie jak kamień. Niesiona Głosem, strzeżona przez Sirę, kochana niezdarnie przez Awisza, rozśmieszana przez bliźniaków. Tam była wojna, której nie widać: o duszę, o światło, o to, kto pierwszy wypuści czyją rękę.

Dwie drogi. Jeden kres. Bo obie zmierzały ku temu samemu — ku godzinie, w której rozstrzygnie się nie tylko, kto włada Kanaanem, lecz co naprawdę kryją Tablice, i czy światło, które niesie słaba dziewczyna, okaże się mocniejsze od całego mroku Babilonu.

Ale to miało się rozstrzygnąć dopiero. Na razie były tylko dwie drogi w kurzu i słońcu, i ludzie idący nimi naprzód — bo naprzód było jedyną rzeczą, jaką umieli, i jedyną, jaka im została.

